



ADAM  
**WIDERSKI**

**ODWYK**

Quid viro forti suavius quam vindicta manu querere?  
(„Czyż jest coś bardziej rozkosznego  
dla silnego męża niż zemsta?”)

Attyla

Copyright © 2018 ADAM WIDERSKI

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Copyright © WYDAWNICTWO INITIUM

Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja: ANNA PŁASKOŃ-SOKOŁOWSKA

Korekta: KATARZYNA KUSOJĆ

Projekt okładki i DTP: PATRYK LUBAS

Współpraca organizacyjna: ANITA BRYLEWSKA, BARBARA JARZĄB

Fotografia wykorzystana na okładce:

JARNO SAREN / ARCANGEL

WYDANIE I

ISBN 978-83-62577-92-7



Wydawnictwo INITIUM

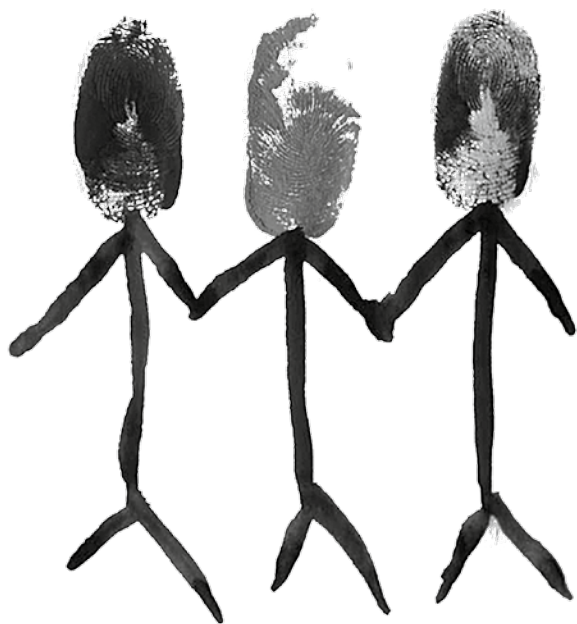
[www.initium.pl](http://www.initium.pl)

e-mail: [initium@initium.pl](mailto:initium@initium.pl)

[facebook.com/wydawnictwo.initium](https://facebook.com/wydawnictwo.initium)

Druk i oprawa: DRUKARNIA WYDAWNICZA IM. W. L. ANCZYCA S.A

ADAM  
**WIDERSKI**



**ODXNYK**



WYDAWNICTWO  
INICIUM

KRAKÓW 2019

*Calej mojej Rodzinie  
oraz wszystkim,  
którzy przyczynili się  
do powstania książki.*

# Prolog

8 PAŹDZIERNIKA 1985 R.

Leżał skulony na starej, podartej kanapie pachnącej kurzem, potem i sproszkowaną gąbką, która wydobywała się z wnętrza mebla przez dwie spore dziury na środku poszycia. W rękę trzymał wycinek z gazety, mocno już żółtawy z powodu częstego używania, choć pismo było wydane raptem przedwczoraj. Na skrawku papieru widniały fotografie dwóch zmiądzonych samochodów na jednej z dróg powiatowych. Pierwszy z nich leżał na dachu i przypominał zgniecioną puszkę. Drugi został wbity w przydrożne drzewo, aż do siedzenia pasażera. Nagłówek nad tekstem informował: „Pijana kobieta zabiła trzyosobową rodzinę”.

Oprócz kawałka gazety chłopiec ścisnął w dłoni zdjęcie uśmiechniętej rodziny – kobiety, mężczyzny i dziecka. Cały czas na nie patrzył, a łzy spływały mu po policzkach, skapując na obicie kanapy. Od trzech dni nie był w stanie ich powstrzymać. Nic nie jadł, nic nie pił. W żadną z nocy nie zmrużył oka nawet na chwilę. Był na granicy skrajnego wyczerpania. Próbował to jakoś ukryć – na przykład chował nietknięte jedzenie, ale pracownica socjalna Miejskiego Pogotowia Opiekuńczego w Łodzi szybko to zauważyła.

– Dziecko, zjedz coś – powiedziała. – Wiem, że wiele wycierpiałeś, ale jeśli nie będziesz jadł, zasłabniesz, a w końcu umrzesz z wycieńczenia.

Chciał umrzeć. Co mu zostało z życia, które trwało zaledwie dwanaście lat? Kiedyś był szczęśliwy. Uśmiechy rodziców, rozmowy, tulenie i pocałunki, pocieszanie w smutne dni... Słowem: wielka kochająca się rodzina. A potem wszystko runęło niczym domek z kart.

– Dlaczego mnie to spotkało? Czy ja nie zasługuję na szczęście? – pytał sam siebie podczas napadów spazmatycznego płaczu.

Najgorszy – oprócz samotności – był obraz, który wracał każdej nocy, kiedy chłopiec zamykał oczy. Znow był na miejscu wypadku. Zmasakrowane ciała rodziców. Nogi i ręce ułożone w nienaturalnej pozycji, głębokie rany na kończynach, na twarzach zaschnięta krew. Chciał zobaczyć ich jeszcze później, ale nie wpuszczono go do prosektorium. Jednak udało mu się niepostrzeżenie wkraść przez tylne drzwi. Mimo że widział ich tylko kilka sekund, zanim został przyłapany i wygoniony z sali, powyższy obraz utrwalił się mocno w jego pamięci.

– Zabiję, przysięgam! – krzyknął z całych sił.

# 1

*15 LIPCA 2010 R.*

– Jak idziesz?! Czerwone jest! – Kierowca białego re-nault clio zahamował gwałtownie tuż przed mężczyzną przebiegającym na czerwonym świetle przez pasy na skrzyżowaniu ulic Mickiewicza i Kościuszki. – I po co się tak śpieszyć? Dopiero siódma piętnaście... – mruknął pod nosem.

Pieszcy, słysząc pisk opon, wykonał ręką przeproszący gest i przyśpieszył bieg, przecinając kolejne przejście. Wymijając innych ludzi, wskoczył do tramwaju numer szesnaście, jadącego do podmiejskiego parku Helenów. Podobne sytuacje na tym skrzyżowaniu zdarzały się kilka razy dziennie. Najgorzej było rano, kiedy ludzie śpieszyli się do pracy czy szkoły, i po południu, podczas masowych powrotów do domu. Właśnie wtedy dochodziło tu do największej liczby wypadków.

Ulica Mickiewicza była jedną składową długiej arterii, która w sumie miała cztery odcinki, każdy o innej nazwie. Odcinek noszący nazwisko sławnego poety kończył się wraz z przecinającą go okazałą ulicą Piotrkowską. Następnie przechodził w ulicę Józefa Piłsudskiego, na której



początku mieściło się jedno z większych łódzkich kin Silver Screen, gdzie oprócz sal seansowych były jeszcze kręgielnia, bilard, restauracje, kafejki ze słodyczami i napojami. Obok kompleksu lokowały się oddziały banków, salony telefonii komórkowej oraz czterogwiazdkowy hotel Ibiz, goszczący głównie biznesowych gości z kraju i zagranicy.

Jednak w tej okolicy stał też o wiele ważniejszy budynek. Nie było go widać z ulicy, bowiem mieścił się w drugiej linii – za hotelem i kinem. Piętrowy, pomalowany na biało gmach w kształcie prostokąta o bardzo długim boku. Na środku fasady były podwójne przeszklone drzwi. Po ich prawej stronie wisiała czerwona tablica z napisem: „Oddział Terapii Uzależnień w Łodzi”. Oddział zajmował parter i pierwsze piętro. Na piętrze znajdowały się gabinety terapeutyczne, w których odbywały się sesje dla uzależnionych, a także pokoje psychologów i psychoterapeutów, pracowników administracyjnych oraz dyrekcji. Każdy gabinet miał przydzielonego stałego psychologa, który zajmował się poszczególnymi uzależnieniami.

Na parterze mieściło się kilka sal, a także gabinet lekarski, bowiem każdy z pacjentów przed przyjęciem musiał przejść wstępny wywiad środowiskowy i konsultację lekarską. Potem udawał się do sekretariatu poradni, gdzie uzyskiwał przydział do grupy terapeutycznej i poznawał terminy kolejnych sesji. Najbardziej oblegane były zajęcia poświęcone odwykowi alkoholowemu. Takich gabinetów znajdowało się tu pięć, lecz najważniejszy był pokój numer dwa na pierwszym piętrze. Odbywały się w nim sesje dla osób najciężej dotkniętych alkoholizmem.

Średnich rozmiarów pomieszczenie pomalowano na kolor kremowy. Podłoga w większej części została przykryta beżowym dywanem, a w białym suficie zamontowano halogeny. Był też klimatyzator. Na południowej ścianie mieściło się szerokie okno z widokiem na Manhattan, czyli największy i najdroższy blok w Łodzi. Po prawej stronie od wejścia stała duża dębowa komoda z szufladami, w których w porządku alfabetycznym ułożono teczki z dokumentacją każdego pacjenta. Naprzeciw niej znajdowało się biurko psychologa z niewielką lampką, kubeczkiem na długopisy i ołówki, a także nieduży plastikowy regał. Środek pokoju stanowił właściwe miejsce sesji odwykowych – masywne, drewniane krzesła ustawiono tu w kształt owalu. Zasiadali na nich uzależnieni wraz z prowadzącym.

Teraz na krześle naprzeciwko wejścia siedział mężczyzna w niebieskiej polówce i wytartych czarnych dżinsach. Niewysoki i bardzo szczupły. Jego wiek trudno było jednoznacznie określić, miał siwy zarost i takiego samego koloru włosy, z łysiejącym gniazdkiem na czubku głowy. Drugie krzesło zajmował barczysty mężczyzna w średnim wieku z krótko przystrzyżonymi włosami w odcieniu ciemnego blondu. Nosił spłowiałe sztruksowe spodnie i brązowy T-shirt z napisem w kształcie graffiti. Dwa miejsca wciąż pozostawały puste; wedle porządku obowiązującego już od czterech sesji powinny być zajęte przez osobę prowadzącą – panią psycholog Annę Witkowską, i trzeciego uczestnika terapii.

Nieduży zegar w drewnianej obudowie wskazywał godzinę siódmą trzydzieści pięć, gdy drzwi gabinetu otworzy-

ły się. W progu stanęła dość młoda, szczupła i niewysoka brunetka o delikatnych rysach. Ubrana była w dopasowaną czerwoną sukienkę, sięgającą za kolano, oraz niebieskie bo-lerko. Całości dopełniały niebieskie szpilki i apaszka tego samego koloru.

– Dzień dobry, panowie – przywitała obecnych. – Przepraszam za spóźnienie, ale przez te remonty ciężko gdziekolwiek dojechać na czas.

– Nic się nie stało, pani doktor – odpowiedział Wiktor, mężczyzna siedzący naprzeciwko drzwi. – Sam bym się spóźnił, gdybym nie wysiadł dwa przystanki wcześniej i nie pokonał tego odcinka na piechotę.

– Kiedyś w moim poukładanym życiu nauczyłem się wcześniej wstawać i wychodzić z dużym zapasem czasu – do rozmowy włączył się mężczyzna zajmujący drugie krzesło. – Tylko to mi pozostało z poprzednich lat. Wszystko inne spieprzyłem.

– Tomek, cieszę się, że zdajesz sobie z tego sprawę. To bardzo ważne w naszej terapii – zareagowała Anna. – Ale pamiętasz o naszej umowie? W tym gabinecie nie przeklinamy.

– Tak, przepraszam, wymknęło mi się. Po prostu czuję się dziś do dupy i wszystko mnie wkurza. Najchętniej bym się wyżył...

– Spokojnie, weź kilka głębokich oddechów i postaraj się nie myśleć o swoim dzisiejszym nastroju. Przypomnij sobie jakieś wydarzenie, które sprawiło ci radość. Pozwól się uspokoić.

– Nie pomaga, pani doktor – jęknął Tomek po kilku próbach opanowania wzburzenia. – Muszę wyjść do łazienki.

– Idź, ale zaraz wracaj. Już pięć minut temu powinniśmy zacząć sesję.

Po piętnastu minutach, a więc gdy zegar wskazywał dokładnie siódmą pięćdziesiąt, drzwi ponownie się otworzyły. Do gabinetu wrócił Tomek – z podwiniętymi rękawami, szeroko otwartymi oczami, jakby od dużego wysiłku, i z lekkim uśmiechem na twarzy.

– Już jestem, trochę mi przeszło...

– Coś długo to trwało – mruknęła Anna. – Wszystko w porządku? Możemy zaczynać?

– Tak, już się wyładowałem.

– Mam nadzieję, że nie zniszczyłeś łazienki, bo kiedyś miałeś już kłopot z agresją.

– Toaleta cała, pani doktor, spoko.

– Może napiszesz jakiś wiersz? Tak jak ostatnim razem, kiedy miałeś gorszy dzień.

– Niech pani da kartkę.

– Proszę. – Kobieta podała Tomkowi kawałek papieru i długopis. – A teraz zaczynamy już naszą kolejną sesję. Wiktor, kontynuuj opowieść, którą zacząłeś ostatnim razem. Skończyłeś na drugim roku choroby alkoholowej i utracie mieszkania.

Kiedy Wiktor skończył opowiadać o kolejnych etapach swojego alkoholizmu – mieszkaniu na ulicy, zebraniu o pieniądze na alkohol, kradzieży i pobiciu, za które został skazany na dwa lata więzienia i terapię odwykową – Anna,

widząc, że Tomek skończył notować na swojej kartce, poprosiła go, aby przeczytał to, co napisał.

Tomek zaczął recytować:

*Życia nie ma,  
Krew już płynie,  
Ran nikt nie zawinie!*

Na twarzach zebranych odmalowało się nieopisane zdziwienie. Pierwsza odezwała się Witkowska:

- Ten wiersz... Nigdy takich nie pisałeś.
- Jakoś tak wyszło. Jaki humor, taki wiersz.
- A co cię doprowadziło do takiego stanu?
- Dużo by opowiadać...
- Słuchamy. Może coś zaradzimy.

– A tak jakoś, życie... Wczoraj spotkałem kumpla z ciu-py, poszliśmy do baru, ale spokojnie, nie piłem, choć miałem ochotę, widząc, jak on żłopie jedno piwo za drugim. W końcu się pokłóciliśmy. Dziwił się, że nie piję, nie chcę wejść z nim w interesy, pójść na panienki. W rezultacie oskarżył mnie o współpracę z psami.

– Z policją, nie z psami – poprawiła go terapeutka. – I co było dalej?

– Rzucił się na mnie z pięściami, ale się obroniłem i poszedłem do domu. A dzisiaj jeszcze jakiś namolny pijak mnie napastował, chciał kasę na wódkę. W autobusie dostałem mandat za jazdę na gapę, a siostra napisała, że nie chce mnie znać. I znowu cholernie chce mi się pić.

– Miałeś dwa ciężkie dni, współczujemy ci bardzo. Przykro mi z powodu twojej siostry. Pamiętaj, że zawsze możesz przyjść do mnie porozmawiać. Przeżywaś trudne chwile, lecz nie poddawaj się, tak dużo już osiągnęłaś. Nie pijesz od ponad miesiąca.

Gd tylko wybrzmiały słowa Anny, na korytarzu rozległ się przeraźliwy krzyk, a następnie drzwi gabinetu otworzyły się gwałtownie.

– Pani doktor, szybko, pomocy! – krzyknęła przerażona pani Alina, zajmująca się sprzątniem.

– Co się stało? – Anna zerwała się na równe nogi. – Gdzie?

– Nie wiem... W łazience! Szybko!

Witkowska wybiegła z pokoju i pędem ruszyła do łazienki znajdującej się na końcu korytarza. Gdy szarpnęła za klamkę, замуrowało ją. Nigdy jeszcze nie widziała czegoś podobnego.

– Jezus Maria... Marcin...

Na podłodze sześciometrowego pomieszczenia leżał nagi zakrwawiony mężczyzna. Jabłko Adama na jego szyi stanowiło środek poziomej, głębokiej na kilka centymetrów rany, zaczynającej się od prawego ucha, a kończącej na lewym. Jediną zasłoniętą częścią ciała ofiary było przyrodzenie, do którego została przyczepiona kartka. Brzuch mężczyzny ponacinano, jak gdyby ktoś dla zabawy złościł w nim rowki, nie mogąc się zdecydować, jaką figurę narysować. Ręce w łokciach i nogi w kolanach były nienaturalnie wygięte, a biodra uniesione nieco wyżej niż reszta ciała. Przeraza-

jący obraz dopełniała kałuża krwi, w której pływały drobne odłamki stłuczonego lustra.

– Ja chyba go znam... Ale kto mógł zrobić coś takiego... – jęknęła pani Alina, zanim nieprzytomna osunęła się na podłogę.

## 2

Delikatnie odgarnął kosmyk czarnych, kręconych włosów, który nieustannie opadał na policzek Marty. Bardzo lubił bawić się jej włosami; czuł wtedy, że zbliża się do niej jeszcze bardziej. Tak było też po dzisiejszej randce, na której obejrzeni w jego domu romantyczny film *Wichry namiętności*. Potem zjedli coś w jedynej otwartej w porannych godzinach pizzerii na Bałutach, a następnie poszli na krótki spacer, zakończony wizytą w jej parterowym domku na ulicy Łagiewnickiej. Uwielbiali spędzać tak wspólny czas – nie w sposób wyszukany, chodząc po ekskluzywnych restauracjach czy na drogie sztuki teatralne. Zwykły spacer o różnych porach dnia, zwykłe jedzenie, nic z rzeczy uznawanych przez zwolenników zdrowej żywności, ewentualnie kino albo sofy w Manufakturze. A jeśli czas i możliwości pozwalały, chwile namiętności u niej albo u niego.

Całował ją namiętnie, jej policzki, mały, zgrabny nosek, naprężoną szyję. Coraz bardziej rozochoceni, zdejmowali z siebie poszczególne elementy garderoby, dotykając się nawzajem z większą śmiałością.

– Cudownie... nie przestawaj... uwielbiam, kiedy to robisz... – szepnęła Marta, czując, jak mężczyzna delikatnie pieści jej piersi, obfite mimo szczupłej figury.

Nagle namiętności zakłócił dźwięk telefonu.

Co za cholera? – pomyślał Piotr. Nie miał zamiaru przerywać w takiej chwili, lecz komórka dzwoniła głośniej i głośniej.

– Nie odbieraj, kotek, proszę... Przecież masz wolny dzień.

Telefon jednak nie dawał za wygraną.

– No jak zaraz kogoś opierdołę... – zaczął Piotr, jednak przerwał, gdy zobaczył na wyświetlaczu numer swojego przełożonego, Ryszarda Walskiego, komendanta czwartego komisariatu w Łodzi. Teraz już wiedział, że chcąc nie chcąc, musi odebrać.

– Halo, szefie?

– Piotrek, zbieraj się, pilna sprawa na Piłsudskiego.

– Komendancie, mam wolne, nie może ktoś...

– Nie. Potrzebuję ciebie, i to zaraz.

– Ale...

– Bez dyskusji. Mamy brutalne morderstwo, prasa już wydzwania, cały komisariat postawiony na nogi. Wszyscy mają anulowane urlopy. Za dwadzieścia minut masz być na miejscu. Wyślę ci adres.



– Musisz jechać? – zapytała Marta ze smutkiem.

– Niestety. Alarm w całej jednostce. Po głosie szefa czuję, że to grubsza sprawa. – Piotr zaczął się ubierać. – Przepraszam, kochanie. Wszyscy mamy się stawić, większość chłopaków z kryminalnej została ściągnięta z urlopu.

– Rozumiem, leć. Praca policjanta zobowiązuje.

– Czasami mam jej dość. Jeszcze raz przepraszam. Pa, słońce – rzucił jeszcze, po czym wyszedł, zostawiając dziewczynę samą.

To nie była do końca prawda. Uwielbiał swoją pracę, choć niekiedy spotykał się z negatywnymi opiniami dotyczącymi jego metod. Porażki powodowały chwile zwątpienia, a nagle wezwania psuły plany, tak jak dzisiaj.

Piotr Krzyski jednak nie zamieniłby posady komisarza Wydziału Kryminalnego w Czwartym Komisariacie Policji w Łodzi na żadną inną. Osiem lat w zawodzie, kilkadziesiąt rozwiązanych spraw, zdolność dostrzegania nawet najmniejszych związków między różnymi, na pierwszy rzut oka niepasującymi do siebie czynnikami. Wszystko to nie byłoby jednak możliwe bez wsparcia jego partnera, Łukasza Majskiego, który pomimo że był całkowitym przeciwieństwem Piotra, pasował do niego jak ulał. Stanowili najlepszą i najbardziej efektywną parę śledczych w całej łódzkiej policji i to do nich spływały zwykle najtrudniejsze sprawy związane z morderstwami.

Po kilkunastu minutach komisarzowi Krzyskiemu udało się przebić przez przedpołudniowy korek i zaparkować swoją mazdę 323 ze sportowym wydechem przed budynkiem Od-

działu Terapii Uzależnień. Po przejściu nad biało-czerwoną taśmą, oddzielającą wejście do posesji i część parkingu od dziennikarzy i zwykłych gapiów, zobaczył zbliżającą się szybko ulicą toyotę yaris. Od razu rozpoznał kierowcę.

Niższy od Piotra o dobre dziesięć centymetrów i o wiele szczuplejszy, Łukasz Majski zawsze był odpowiednio ubrany, a włosy w ciemnym odcieniu blond miał przygładzone, z równym, niemal idealnym przedziałkiem.

– Cześć, stary – Piotr powitał kolegę. – Też z urlopu? – Rzucił okiem na elegancką koszulę i wyprasowane spodnie. – Byłeś na imieninach teściowej?

– Daj spokój – mruknął Łukasz. – Stary ściągnął mnie z ryb. Byłem na Uroczysku. Zdążyłem wpaść do domu i coś porządnego założyć.

– A ja przerwałem spotkanie z Martą... – Piotr nie potrafił ukryć zawodu. – Dobra, chodźmy. Zobaczymy, co to za pilna sprawa.

Pokazali legitymacje stojącemu przy taśmie policjantowi, po czym weszli do budynku. Kształt i rozmiar pomalowanego na żółto-zielono korytarza przypominał łódzki tramwaj. W holu tłoczyli się mundurowi, technicy, pracownicy ośrodka i świadkowie. Komisarze skierowali się na pierwsze piętro. U szczytu schodów czekał już na nich niski, krępy mężczyzna. Ze względu na sporą łysinę wyglądał na siedemdziesięciolatka, jednak miał dziesięć lat mniej. Inspektor Ryszard Walski.

– Dzień dobry, panie komendancie – powitał szefa komisarz Krzyski.

– Witam. Dobrze, że już jesteście. Patolog kilka minut temu zaczął oglądać zwłoki. Za chwilę do niego pójdziemy, ale najpierw zamienimy parę słów z tamtymi paniami. To one znalazły ofiarę.

Komendant przedstawił pracownikom swoich podwładnych, po czym zapytał:

– Która z pań odkryła zwłoki? Jak do tego doszło?

– Ja zobaczyłam go pierwsza... jak przyszłam posprzątać. Zaczęłam krzyczeć i pobiegałam po panią doktor. – Pani Alina wskazała na Annę. Terapeutka, blada jak kreda, opierała się o ścianę.

– Czy dotykała pani czegoś?

– Nie, niczego nie dotykałam, tylko otworzyłam drzwi... i od razu je zamknęłam.

– Kto ma dostęp do tej łazienki? – wtrącił komisarz Krzyski.

– Praktycznie wszyscy, bo ta na parterze jest mała. Często, jak ktoś chce skorzystać z toalety, idzie na górę.

– A dzisiaj o tej porze kto był w budynku? – zapytał komendant.

– Nie wiem, ja tylko sprzątam...

– W dniu dzisiejszym w budynku znajdowali się trzej uczestnicy sesji, a poza nimi pani doktor, sekretarka, ochroniarz i pani z firmy sprzątającej – do rozmowy włączył się policjant, który niespodziewanie znalazł się tuż przy nich. Jego wygląd – młoda twarz i starannie wyprasowany mundur – dowodził, że zapewne niedawno ukończył szkołę policyjną.

– Dziękuję za informację, posterunkowy Turkowski – odparł inspektor Walski. – Czy wszyscy już złożyli pierwsze zeznania?

– W zasadzie tak. Jeszcze tylko starszy posterunkowy Nowak rozmawia z ochroniarzem. Z tego, co zdążyłem się dowiedzieć, nikt nic szczególnego nie widział ani nie słyszał. Ale mamy dość duży kłopot...

– Jaki? – Komisarz Krzyski uniósł brwi.

– Brakuje nam jednego człowieka z zajęć pani doktor. Widziano go, jak wchodził do łazienki kilka minut przed znalezieniem zwłok.

– Kto go widział? – zapytał Łukasz.

– Ja go zauważyłam – powiedziała pani Alina. – Jak sprzątałam drugi koniec korytarza. Widziałam, że wychodzi z gabinetu i idzie do łazienki. Zwróciłam na niego uwagę, bo był strasznie zdenerwowany, do tego stopnia, że kopnął kosz na śmieci, ten przy drzwiach. Jak wyszedł, dokończyłam sprzątanie i poszłam do toalety. Pomyślałam sobie, że jak jest w takim stanie, to na pewno po sobie nie posprzątał. Otwieram drzwi, a tu to... – Sprzątaczką machnęła ręką.

– I co? Tak po prostu wyszedł z budynku? – zdziwił się komendant.

– Nie, wrócił na sesję – odezwała się Anna Witkowska. – Usiadł na swoim miejscu, napisał wiersz... bardzo mroczny wiersz. – Wyciągnęła przed siebie rękę z kartką papieru.

Krzyski rzucił okiem na napisany na niej tekst.

– Rzeczywiście, dziwny i brutalny – przyznał. – I co było dalej?

– Opowiedział o swoich ostatnich przeżyciach, a potem już wpadła pani Alinka i pobiegłam za nią do łazienki.

– Pozostali uczestnicy twierdzą, że zaraz po wyjściu pani doktor mężczyzna wybiegł z pokoju i nikt go więcej nie widział – dopowiedział posterunkowy Turkowski.

– No to mamy pierwszego podejrzanego – stwierdził Łukasz.

– Jakieś dane osobowe? – zapytał komendant.

– Tomasz Fryc, skierowany na odwyk po ponownym odbyciu kary więzienia – powiedziała Anna. – Skazany za pobicie ze skutkiem śmiertelnym. Wtedy wielokrotnie użył noża.

– Czy był pod wpływem alkoholu? – zagadnął Łukasz, a gdy Anna, wciąż przeraźliwie blada, lekko kiwnęła głową, dodał: – Często zdarzały mu się takie ekscesy?

– Panowie, obowiązuje mnie tajemnica zawodowa i nie mogę o tym mówić przy wszystkich. Część informacji znajdziecie w jego aktach, a ja chętnie udzielę dodatkowych odpowiedzi, ale nie tutaj i nie teraz... – Zdenerwowana lekarzka zakryła twarz dłońmi i zaczęła płakać.

– Tak zrobimy. Ale proszę się nie zasłaniać tajemnicą zawodową – odrzekł inspektor Walski. – Najpierw posterunkowy Turkowski ustali, pod kogo podlega nasz uciekinier.

– Zdążyłem już to sprawdzić. Jest pod jurysdykcją komisariatu siódmego na Górnej.

– Skontaktuj się z nimi. Niech kogoś przyślą, żeby nam o nim opowiedział. A może wystarczą same akta, skoro ma tak bogatą przeszłość kryminalną. My tymczasem – kome-

dant wskazał na Krzyskiego i Majskiego – idziemy na miejsce zbrodni.

Policjanci zastali łazienkę w niezmiennym stanie. W środku znajdowały się dwie osoby w specjalnych, jednorazowych kombinezonach, które służą technikom do badania miejsca zbrodni. Jedna z nich – niska, przysadzista kobieta z krótkimi czarnymi włosami, po rozstawieniu numerków oznaczających dowody wzięła się do zbierania odcisków z ramki lustra i obręczy umywalki. Przy ofercie, badając ranę na szyi, klęczał chudy i łysy mężczyzna. Był to niezbyt lubiany ze względu na specyficzne poczucie humoru patolog sądowy Hektor Wist.

– Ale rozpierducha, jak z *Piły 4* – mruknął komisarz Krzyski.

– Bez przesady, w *Pile* było lepsze widowisko – odrzekł Hektor. – Witam panów. Przyszliście popatrzeć na nagiego mężczyznę leżącego w morzu krwi?

– Jakoś nie mam ochoty na takie atrakcje – powiedział komendant. – Możesz już coś wstępnie powiedzieć?

– Ofiara, jak widać, to mężczyzna. Wydawałoby się, że przyczyną zgonu było przecięcie aorty szyjnej, czyli mówiąc prościej: poderżnięcie gardła, ale z pierwszych oględzin wydaje się, że jednak nie.

– Jak to? – zdziwił się Łukasz.

– Z powierzchownego badania wynika, że przed śmiercią facet stoczył bójkę. Potwierdzają to stłuczenia i obrzęki na pięściach i twarzy, a także zbite lustro. Według mnie został uduszony, a następnie rozebrany i okaleczony.

– A krew na ścianach nie pochodzi z przerwania tętnicy szyjnej i próby jej zatamowania przez ofiarę? – Krzyski nie krył swoich wątpliwości.

– Właśnie nie. Ślady krwi nie pasują do kształtu jej rozbrzgu podczas przerwania aorty. To wygląda bardziej tak, jakby ktoś wylał krew na ściany. Tylko krew na podłodze pochodzi z sączącej się rany.

– Wylał krew? Zabójca poderżnął mu gardło, zebrał krew do jakiegoś naczynia i chlusnął na ściany? Hektor, to brzmi niewiarygodnie.

– Wiem, ale tak to wygląda. W sumie mnie to nie dziwi. Różne rzeczy już widziałem w swojej dwudziestoletniej karierze – odparł patolog. – Ja i Beata przyjrzymy się temu bliżej.

– A co z tą kartką? – Majski wskazał na kawałek papieru przyczepiony do genitaliów ofiary.

– Została przyklejona klejem stałym. Zaraz ją odetnę, bo chcę przekręcić zwłoki na brzuch. Nie podoba mi się ułożenie bioder. Muszę to sprawdzić. – Wist wziął nożyczki i odciął kartkę, którą następnie umieścił w przezroczystej torebce strunowej. – To kawałek etykiety z butelki po wódce, ale o tym później. Najpierw go przekręcimy.

– Coraz mniej mi się to podoba – westchnął komendant.

– Mnie też – zawtórował mu Hektor.

Dwaj technicy wezwani przez patologa przynieśli duży czarny worek. Rozłożyli go po lewej stronie nagiego mężczyzny i wspólnie z lekarzem postanowili przekręcić ofiarę

przez lewe ramię, tak żeby brzuchem leżała na worku, a nie na zakrwawionej podłodze.

– Panowie, na trzy: raz, dwa, trzy... – odliczył Hektor.

– Jasna cholera! – zawołał komendant, gdy mężczyzna wyładował na brzuchu, odsłaniając nagie plecy.

### 3

Ryszard Walski zaczynał pracę w policji jeszcze w czasach, gdy instytucja ta nosiła nazwę milicji i budziła duży postrach, choć też szacunek wśród obywateli. Pamiętał, jak wstępował w milicyjne szeregi, odbywał przeszkolenia teoretyczne i praktyczne, znał każdy szczebel kariery, który miał pokonać. Jako niespełna osiemnastolatek, na początku lat sześćdziesiątych, był zwykłym posterunkowym, którego najpierw wykorzystywano do żmudnej roboty papierkowej, a następnie zsyłano do najgorszych dzielnic Łodzi, by prowadził wywiady środowiskowe, obserwacje czy zatrzymywał podejrzanych. Po przydzieleniu do kryminalnych miał styczność z różnego rodzaju zabójstwami, nawet z działaniami seryjnych morderców, jak na przykład wampir z Galkówka, skazany na karę śmierci w sześćdziesiątym dziewiątym. Krótko mówiąc, widział już wiele i żadne zwłoki, nawet zbezczeszczone lub wyłowione z wody po dwóch latach, nie budziły w nim przerażenia.



Jednak ta sprawa nie podobała mu się od samego początku. Ciało ofiary w łazience i przypuszczenia patologa sądowego dotyczące krwi na ścianie budziły w komendancie niepokój i odrazę. Obraz, który ukazał się jego oczom po odwróceniu zwłok na brzuch, spowodował eksplozję tych doznań.

Nienaturalne ułożenie bioder ofiary rodziło różne przypuszczenia. Jednak po obróceniu denata widać było dokładnie, że z jego odbytu wystaje jedna czwarta dolnej części butelki. Szyjkę oraz pozostałą część wciśnięto w ciało.

– Tego się nie spodziewałem, choć przewidywałem, że w odbycie coś znajdziemy – odezwał się Hektor po dłuższej chwili milczenia.

– Ja pieprzę... – mruknął komisarz Krzyski. – Widziałem różne rzeczy, wepchniętą w gardło skarpetę czy garść szpilek w żołądku, ale to już chyba przegięcie w bezczeszczeniu zwłok.

– To wygląda jak butelka od wódki – stwierdził Majski.

– Bo to jest butelka od wódki. A dokładnie od ćwiartki, co zresztą widać na napisie wytłoczonym na denku. – Patolog nachylił się nad pośladkami mężczyzny. – Mamy więc integralną część naszej etykiety.

– Myślisz, że etykieta pochodziła z tej butelki? – zapytał komendant.

– Nie myślę, ja to wiem. Wszystkie elementy układanki do siebie pasują. Zbadamy to jeszcze, ale mogę się założyć o dzień w kostnicy. Ktoś chętny?

– Nie! – krzyknęli chórem funkcjonariusze.

– Szkoda. Nie rozumiem, czemu tak nie lubicie kostnicy – uśmiechnął się Hektor. – A tak na poważnie, tutaj nic już nie wymyślę. Zabieramy ciało do prosektorium. Zrobię autopsję, zbadam etykietę i butelkę. Dopiero wtedy będę mógł wam powiedzieć coś więcej.

– A ubrania tego mężczyzny? Zniknęły? – zapytał Łukasz.

– N-nie. Znajdują się w s-sedesie, wciśnięte p-prawie do s-samego odpływu. Jeszcze ich n-nie w-wyciągnęliśmy. N-na razie z-zajmujemy się o-odciskami i innymi m-małyymi d-dowodami – po raz pierwszy odezwała się Beata Wilczak, szef wydziału techniki kryminalistycznej. Bardzo często współpracowała z Wistem, przez co niektórzy nazywali ją prawą ręką patologa. Jednak podczas kontaktów bezpośrednich bardzo się jąkała, dlatego wołała pisać raporty. Teraz pokazała policjantom niewielki kluczyk, który leżał obok szczotki do sedesu. – M-może n-należał do o-ofiary lub l-leżał tu wcześniej.

– Ktoś bardzo się postarał, żebyśmy mieli dużo pracy – skwitował Hektor.

– Zidentyfikowaliście już ofiarę, posterunkowy Turkowski? – komendant zwrócił się do młodego.

– Nie do końca. Ale część informacji przekazała nam pani doktor. Mężczyzna nazywał się Marcin Karkowski, lat trzydzieści pięć. Uczestniczył w terapii od pięciu tygodni, po skierowaniu przez lekarzy jednego z łódzkich szpitali. Trafił tam po tym, jak aresztowano go w czasie włamania do sklepu monopolowego, gdzie zahaczając o część wybitej szyby, uszkodził sobie nogę.

– Miał jakichś wrogów? – zagadnął Majski.

– Na terapii nie, choć raz podobno pokłócił się z naszym podejrzanym. Ale chyba nie było to nic poważnego, ponieważ pani psycholog nie mogła sobie przypomnieć nic więcej. Natomiast o jego życiu osobistym nic nie wiemy.

– Trzeba jeszcze raz porozmawiać z tą psycholożką – stwierdził komisarz Krzyski. – Na pewno powie coś więcej albo z akt da się coś wydobyć.

– Idziemy – zarządził inspektor Walski. – Dzięki, Hektor. Czekam na raport z sekcji.

– Nie ma sprawy. Prześlę jak najszybciej. Chociaż w kostnicy mam jeszcze jednego wisielca i jednego topielca.

Funkcjonariusze skierowali się do sali, w której zostali ulokowani wszyscy świadkowie i pracownicy przychodni. Witkowska siedziała przy biurku, nachylając się nad kubkiem wody. Bładość jej twarzy kontrastowała z czerwoną sukienką.

– Mamy jeszcze kilka pytań – zagadnął komendant. – Czy znała pani ofiarę?

– Tak. To uczestnik mojej sesji, Marcin Karkowski – odparła Anna.

– Proszę nam powiedzieć o nim coś więcej. O jego osobowości, nałogu, życiu, ewentualnych konfliktach.

– Przykro mi, ale nie mogę. Bez zgody szefa kliniki nic nie powiem. Przed chwilą z nim rozmawiałam. Mam zakaz udzielania jakichkolwiek informacji o członkach sesji.

– Chyba pani żartuje – warknął Krzyski. – Poproszę nazwisko i numer telefonu pani przełożonego.

– Dyrektorem kliniki jest Bogdan Dereszowski, ale numeru telefonu ani innych danych nie mogę podać ze względu na wspomniany zakaz, który dotyczył również jego osoby.

– A może pojedziemy na dołek na czterdzieści osiem godzin i wtedy pani wszystko wyśpiewa! – Piotr podniósł głos.

– Grozi mi pan aresztem?

– Spokojnie, komisarzu – wtrącił komendant Walski. – Nikt pani nie grozi. Kolega tylko podał jedną z konsekwencji, jakie grożą osobom utrudniającym śledztwo. Kiedy można się spodziewać dyrektora kliniki?

– Dopiero jutro rano. Jest w Hamburgu na konferencji psychologów i psychoterapeutów.

– W takim razie jutro w samo południe proszę się stawić w komisariacie razem z dyrektorem i wszelkimi danymi dotyczącymi poszczególnych uczestników sesji. Posterunkowy Turkowski poda pani adres placówki i wypisze wezwanie.

Policjanci poczekali, aż ich kolega przekaże lekarce stosowny dokument, po czym wyszli z sali. Na parterze znaleźli wysokiego, dobrze zbudowanego mężczyznę z długimi czarnymi włosami związanymi w kitkę. Stał przy kontuarze sekretarki i notował coś w swoim policyjnym notesie. Był to starszy posterunkowy Grzegorz Nowak, kolejna persona z młodego pokolenia funkcjonariuszy wydziału zabójstw. Z jego dotychczasowych osiągnięć najbardziej spektakularne były nie śledztwa czy rozwiązane sprawy, ale pokonanie trzech napastników, w tym jednego z nożem, podczas obławy na dilerów narkotyków, a także wygrana w krajowych po-

licyjnych zawodach bokserskich. Wygrana może nie budziłaby wielkiej sensacji, lecz znokautowanie wszystkich rywali najpóźniej w trzeciej rundzie, łącznie z finałem, wzbudziło respekt dla jego umiejętności. Większość policjantów lubiła pracować z Nowakiem, gdyż wykazywał się bardzo dużą sumiennością, zaangażowaniem i poczuciem humoru.

– Cześć, Grzesiu – Majski powitał starszego posterunkowego. – Przepytałeś już wszystkich świadków? Masz coś dla nas?

– Dzień dobry, panie komendancie, czołem, panowie. Zgadza się, mam zeznania osób obecnych dzisiaj w budynku, oprócz niejakiego Tomasza Fryca, który zbiegł. Ale już go namierzamy.

– To słyszeliśmy – odparł Walski. – Jakież konkrety? Bo póki co nikt nic nie wie albo nie chce wiedzieć.

– Konkreatów niestety brak. Nikt nic szczególnego nie widział, począwszy od ochroniarza, a skończywszy na sprzątacze. Żadna obca osoba nie wchodziła do kliniki, a tym bardziej do łazienki. Według ochroniarza ofiara przyszła około siódmej trzydzieści, a nasz podejrzany dziesięć minut wcześniej. Mężczyzna ponoć wyglądał na wkurzonego. Na schodach puszczał pod nosem jakieś wulgaryzmy. Podobno często wchodził w utarczki słowne z byle powodu.

– Coraz ciemniejsze chmury zbierają się nad tym gościem – stwierdził komisarz Krzyski. – Czyżby morderstwo w afekcie, a potem strach przed karą i ucieczka?

– To chyba byłoby za proste, ale nic nie wiadomo. Nie ma co wyciągać pochopnych wniosków – odparł komendant. – Coś jeszcze?

– Marcin Karkowski dwa tygodnie temu omal nie pobił innego stróża, który zwrócił mu uwagę, żeby nie palił na parterze przy drzwiach. Podobno tylko reakcja pani doktor i jeszcze jednego psychologa nazwiskiem Filip Tarło, zapobiegła bijatyce. Skończyło się na odepchnięciu pracownika ochrony.

– Trzeba porozmawiać z tym psychologiem. Był dzisiaj w pracy?

– Nie, do końca tygodnia jest na urlopie. Ale postaram się go ściągnąć do komisariatu.

– A ten drugi ochroniarz?

– Nazywa się Rafał Mokul. Ma przyjść dzisiaj na popołudniową zmianę, ale kierownik firmy ochroniarskiej dzwonił do niego i gość postara się przybyć w ciągu najbliższych dwóch godzin. Mamy informację od jego kolegi, że Mokul znał denata, jeszcze zanim ten zaczął przychodzić na sesje.

– O proszę, musimy z nim poważnie porozmawiać. Tak trzymać, posterunkowy Nowak. Postaraj się jak najszybciej zdobyć informacje, a potem czekam na ustny raport.

Zanim policjant zdążył odpowiedzieć, do funkcjonariuszy podbiegł posterunkowy Turkowski.

– Panie komendancie, mamy adres podejrzanego.

– Dobra robota. Jedźcie tam. I wezwijcie chłopaków z uderzeniowego, tak na wszelki wypadek.



Nieźle zamieszanie, pomyślał mężczyzna ubrany w T-shirt koloru khaki i krótkie spodnie, stojący na światłach u zbiegu ulic Kościuszki i Mickiewicza. W sumie nie ma się co dziwić, dawno nie było takiego zdarzenia w naszym mieście, a tym bardziej w tej okolicy. Gdzieś na obrzeżach niejednokrotnie widywał bijatyki na noże i maczety, ustawki kibiców czy nieszczęśliwe wypadki, spowodowane ludzką głupotą. Ale w centrum miasta, i to jeszcze w klinice dla osób leczących się z tej podłej choroby, której tak szczerze nie cierpiał! Sam zresztą doświadczył jej pod wpływem pewnego wydarzenia z dzieciństwa.

Trzeba z tym skończyć raz na zawsze. Władze Łodzi tak lekceważąco podchodzą do tematu, ale teraz przekonają się, co spowodowała ich polityka. Cała Polska zobaczy, a może i cały świat, rozmyślał, spoglądając na żółtą reklamówkę, w której znajdowała się pusta „małpka” po wysokoprocentowym alkoholu. Obok niej leżała oderwana etykieta.

Obserwował całe zdarzenie z oddali. Nie mógł podejść bliżej, gdyż pomimo przebrania i prowizorycznej zmiany wyglądu mógłby zostać rozpoznany przez niektóre osoby znajdujące się w budynku.

Myślicie, że mnie złapiecie? – zaśmiał się w duchu. Zapraszam do mojego domu.

Łódź była trzecim w Polsce miastem pod względem liczby ludności (po Warszawie i Krakowie), a pod względem powierzchni czwartym (po Warszawie, Krakowie i Szczecinie). Miasto składało się z kilku dzielnic, niegdyś osad, które podczas kolejnych lat były włączane w granice miejskie. Każda z dzielnic miała swoje znaczenie geograficzne, demograficzne, gospodarcze czy polityczne i własną specyfikę. Najważniejsze wydarzenia polityczne i kulturalne odbywały się w Śródmieściu. We wszystkich dzielnicach znajdowały się wyodrębnione osiedla administracyjne, różniące się pod wieloma względami. Te leżące na obrzeżach charakteryzowały się nieco inną zabudową, a życie i czas płynęły tu wolniej i o wiele przyjemniej niż w centrum.

Jednym z takich osiedli były Stoki, mieszczące się na północno-wschodnim krańcu miasta. Teren ten leżał na wzniesieniach, przez co plasował się na drugim miejscu (tuż za Parkiem Wzniesień Łódzkich) w klasyfikacji najwyższej położonych obszarów miasta. Tutejsze ulice nosiły nawet iście tatrzańskie nazwy, jak choćby Giewont, Gubałówka, Janosika czy Rysy.

Ciężko stwierdzić, czy Stoki zamieszkiwali ludzie biedni czy bogaci, ponieważ część obszaru zajmowały wille wzniesione podczas drugiej wojny światowej przez okupantów niemieckich dla swoich żołnierzy i urzędników. Były tu



też domki jednorodzinne – pozostałość po wybudowanych po trzydziestym szóstym roku na Górze Stokowskiej mieszkaniach dla lepiej sytuowanych robotników. Obraz ten kontrastował z nowoczesnymi, bogato zdobionymi domami, postawionymi na dużych działkach, gdzie najdziwniejsze krzewy i drzewa rosły wzdłuż płotów, wyposażonych w zaawansowaną elektronikę antywłamaniową. Mieszkali w nich ludzie zamożni: urzędnicy, prawnicy, lekarze. Część wspomnianych domów mieściła się przy ulicy Morskie Oko, która obecnie była zablokowana przez policyjny samochód od strony ulicy Jadwigi. Jedynie skręt z ulicy Janosika nadal był otwarty, lecz niedaleko stały trzy nieoznakowane auta policyjne – dwie furgonetki należące do oddziału szturmującego oraz jeden opel insignia, którego na co dzień używali komisarze Piotr Krzyski i Łukasz Majski.

– Nasi zablokowali już wylot ulicy. Po każdej stronie działki, na której stoi dom podejrzanego, jest jeden funkcjonariusz w gotowości – powiedział zebrany w samochodzie policjantom głównodowodzący oddziałem, inspektor Marek Trzos. – Podejrzany mieszka w trzecim domu po lewej od wjazdu. Na mój sygnał wkraczamy do akcji. Chłopaki najpierw forsują furtkę, potem drzwi wejściowe. Wchodzimy w następującej kolejności: podkomisarze Tumicz, Remisz, Wijaczek, Dudła, Kominarski, Czajka, na końcu ja z wami – zwrócił się do policjantów z wydziału zabójstw.

– Okej. Tutaj wy dowodzicie – odrzekł komisarz Krzyski.

Ze wszystkich wymienionych podkomisarzy Piotr i Łukasz najlepiej znali Dominika Kominarskiego. Poznali go

w czasie nauki w Wyższej Szkole Policji w Szczytnie. Był o rok wyżej, ale szybko się zaprzyjaźnili. Spędzali we trójkę każdą wolną chwilę po zajęciach: na siłowni, w salce do ćwiczeń, doskonaląc technikę chwytów oraz walki wręcz, lub po prostu w pokoju w akademiku, gadając o przestępczości, akcjach i osobistych sprawach. Po ukończeniu szkoły wszyscy złożyli podania o przydział do komisariatu przy ulicy Kopernika. Los im sprzyjał, bo już po tygodniu dostali wezwanie. Dominika zawsze kręcił oddział uderzeniowy, a Krzyskiego i Majskiego dochodzeniówka. Praca jeszcze bardziej zacieśniła ich wzajemne relacje. Piotr i Łukasz wiedzieli, że gdyby wszyscy z komisariatu, ba, nawet z komen- dy, się od nich odwrócili, pierwszą osobą, która stanęłaby w ich obronie, byłby Dominik. Ufali mu bezgranicznie.

– Zgadza się. Kamizelki założone? Broń naładowana? – Głos inspektora przywołał Krzyskiego do rzeczywistości.

– Tak jest, szefie.

– Jeśli chodzi o podejrzanego, jest to mężczyzna lat trzydzieści osiem, około stu osiemdziesięciu dwóch centymetrów wzrostu, barczysty, krótkie włosy, ciemny blondyn. Mieszka sam. Wszyscy wiedzą, jak wygląda? – zapytał muskularny komisarz Dudła.

Gdy pozostali kiwnęli głowami, spojrział jeszcze raz na mapę tej części Stoków i na zdjęcia domu zrobione z ukrycia przez jednego z funkcjonariuszy, po czym przekazał je dalej.

– Zaczynamy za trzy minuty, kiedy wszyscy potwierdzą gotowość – skwitował głównodowodzącą Trzos.

Nie minęła minuta, a w krótkofalówce zawieszanej na szelkach kamizelki kuloodpornej inspektora rozbrzmiał głos:

– Alfa jeden gotowy. – Znaczyło to, że policjanci blokujący tył ulicy ustawili się na swoich stanowiskach.

– Alfa dwa, trzy, cztery gotowi. – Pozostali ludzie z oddziału zajęli pozycje wokół domu podejrzanego.

– Beta gotowy – odpowiedział inspektor Trzos. – Za dziesięć sekund wchodzimy.

Gdy wszyscy zaczęli szeptem odliczać, Łukasz poczuł znajomy dreszczyk emocji.

– Trzy, dwa, jeden... wchodzimy!



W tym samym czasie do kliniki przy alei Mickiewicza wszedł wysoki, dobrze zbudowany, trzydziestokilkuletni mężczyzna o śniadej karnacji i ciemnych, choć nieco już szpakowatych na skroniach włosach. Ubrany był w zamszowe, ciemnoszare spodnie i czarną obcisłą bluzkę z nadrukiem Linkin Park. Przeszedł niepostrzeżenie pod taśmą policyjną i dopiero kiedy przekroczył próg budynku, zauważyła go posterunkowa Kamila Podolska, stojąca naprzeciwko wejścia.

– Halo, a pan do kogo? Tutaj nie można tak po prostu wejść.

– Do mnie mówisz, glino? – krzyknął mężczyzna.

– A do kogo? Nie widział pan taśmy policyjnej? – burknęła Kamila, podchodząc do nieznanego.

– Widziałem, ale nikogo przy niej nie było, więc wszedłem dalej. Niezbyt dobrze zabezpieczacie teren.

– Nie panu to oceniać. I grzeczniej proszę, bo zaraz zostanie pan stąd usunięty, a później oskarżony o wtargnięcie na miejsce zbrodni.

– Zbrodni? Żarty sobie stroicie?

Dobry obserwator zauważyłby, że pomimo nieprzyjemnego tonu i pozornej wyższości rozmówca był bardzo zdenerwowany. Cały czas skręcał w palcach nitkę wystającą z koszulki.

– Nie mogę udzielić więcej informacji. Kim pan w ogóle jest? Poproszę dokumenty.

– Rafał Mokul, ochroniarz tej kliniki. Mam dzisiaj drugą zmianę, ale zostałem wezwany szybciej, gdyż gliny chcą ze mną porozmawiać. – Mężczyzna machnął przed nosem policjantki służbowym identyfikatorem.

– W takim razie zapraszam do komendanta.

Posterunkowa Podolska zaprowadziła mężczyznę do jednego z gabinetów lekarskich. Walski prowadził właśnie rozmowę z innym policjantem.

– Inspektorze, przyszedł świadek z firmy ochroniarzkiej.

– Chwila, chwila. Jaki świadek? Ja nic nie wiem i nic wam nie powiem – burknął Rafał Mokul. – Znam swoje prawa.

– Myślę, że jednak powie nam pan bardzo dużo. A na słowo „świadek” proszę się nie oburzać. Każdy przesłuchiwany w danej sprawie jest tak nazywany. Może jednak naj-

pierw się pan przedstawi? – odparł zdecydowanym tonem komendant, po czym podał swoje imię, nazwisko i funkcję.

Mokul nie odpowiedział, tylko ostentacyjnie rzucił funkcjonariuszowi legitymację służbową. Inspektor Walski złapał ją, choć najchętniej cisnąłby nią w twarz bezczelnemu ochroniarzowi. Nie znosił takich ordynarnych ludzi. Nie chciał jednak zaognić sytuacji. Kilkadziesiąt lat w służbie pogłębiło jego pokłady cierpliwości.

– Dowód poproszę!

Po przeanalizowaniu dokumentów pod każdym kątem, wraz z obejrzeniem logo jednej z najbardziej znanych firm ochroniarskich Giza, komendant wiedział już, że współpraca z Rafałem Mokulem nie będzie łatwa, tak samo jak współpraca policji z owym przedsiębiorstwem.

– Jak długo pracuje pan w firmie Giza?

– A po co panu ta wiedza?

– Ja tu zadaję pytania. I radziłbym odpowiadać teraz, a nie w komisariacie.

– Straszy mnie pan? Myślicie, że się was boję? Nic nie zrobiłem, nie muszę udzielać żadnych informacji ani panu, ani pańskim ludziom.

Inspektor nie rozumiał, dlaczego ten człowiek jest tak bojowo nastawiony, szczególnie że na terenie, na którym pracuje, doszło do zabójstwa i jeśli nie chce, aby podejrzenie padło na niego, powinien raczej współpracować z policją. Chyba że coś ukrywa, co wedle statystyk policyjnych u osoby związanej z miejscem zbrodni zdarza się nader często. Ale na razie nie było podstaw, żeby go podejrzewać, tym

bardziej że osoba głównego podejrzanego wyklarowała się bardzo szybko. Trzeba jednak sprawdzić wszystkie wątki oraz przesłuchać ludzi powiązanych z tą sprawą. Walski po- hamował narastającą złość i zapytał jeszcze raz:

– Jako osoba związana ze śledztwem zobowiązany jest pan do odpowiedzi na nasze pytania, więc zacznijmy od nowa. Jak długo pracuje pan w firmie Giza?

– Najpierw żądam wyjaśnień! O co chodzi i co tu się właściwie stało? – Rafał Mokul podniósł głos.

– W łazience na pierwszym piętrze znaleziono zwłoki mężczyzny. Najprawdopodobniej był to jeden z uczestników sesji terapeutycznej. W związku z tym musimy zadać panu kilka pytań. – Komendant czuł, że za chwilę straci cierpliwość.

– Tym bardziej nie będę odpowiadał na żadne pytania. Nic nie pamiętam – odparł mężczyzna, po czym dodał z iro- nicznym uśmieszkiem: – Komuś widocznie się należało.

– Ostrzegam po raz ostatni: lepiej, żeby odpowiedział pan na pytanie. – Inspektor przeszył ochroniarza ostrym wzrokiem.

– Już powiedziałem, nic nie pamiętam. Skończyliśmy rozmowę. Do widzenia. – Rafał Mokul odwrócił się na pię- cie, lecz nie zdążył postawić kroku, gdy poczuł na ramieniu mocny uścisk dłoni komendanta. – Puszczaj, psie! – wark- nął, strącając dłoń.

Miarka się przebrała. Walski złapał delikwenta za prze- gub i prostym chwytem wykręcił mu rękę do tyłu. Centy- metr wyżej, a wyłamałby mu bark. Dodatkowo, aby ochro-

niarz nie mógł się wydostać z kleszczy, inspektor przełożył drugie przedramię pod jego wolną kończyną, złapał go za włosy i wykręcił jego głowę w prawą stronę. Z takiego uścisku jedynie zaawansowany mistrz sztuk walki mógłby się uwolnić. Walski, choć ze względu na wiek nie brał już udziału we wszystkich akcjach policyjnych, po latach radzenie sobie na ulicy z różnymi rzezimieszkami wciąż odznaczał się siłą i zręcznością. Pochyliwszy świadka do przodu, ruszył na schody prowadzące na pierwsze piętro, a następnie skierował się prosto do łazienki.

Technicy zabezpieczali jeszcze odciski, a ciało zamordowanego leżało na środku podłogi. W progu inspektor lekko kopnął Rafała w tył kolana, zmuszając go do zajęcia pozycji klęczącej.

– Widzisz, gnoju? Przypatrz się dobrze! To Marcin Karkowski, którego bardzo często tu widywałeś. – Komentant nachylił się nad ochroniarzem tak blisko, że czuł jego oddech. – Jeśli natychmiast nie zaczniesz gadać, oskarżę cię o zabójstwo i zapuszkuję, a zaręczam, że już za kilka godzin będę miał w ręku wniosek o trzymiesięczny areszt podpisany przez prokuratora oraz sąd. O motyw się nie martw. Nie dość, że znałeś ofiarę, to jeszcze popadłeś z nią w konflikt, a zemsta jest bardzo mocnym bodźcem do zrobienia różnych niewłaściwych rzeczy.

Rafał Mokul przez chwilę patrzył na zamordowanego z przerażeniem oraz odrazą. Nagle szarpnął się i zwymiotował do stojącego obok kosza na śmieci.

– Kto mu to zrobił? – zapytał, nadal plując.

– Mam nadzieję, że ty mi to powiesz.

– Ale ja nic nie wiem. Skąd mam wiedzieć, kto go tak urządził!

– Zaczyniesz współpracować czy mam cię zakuć? – Walski okręcił kajdanki wokół swojego serdecznego palca. Dopiero teraz zorientował się, że większość funkcjonariuszy przygląda się tej scenie. Jeden z nich, sierżant Jakub Kakolski – nazywany Kubusiem z powodu chłopięcej urody oraz mikrej postury, mimo że miał prawie pięćdziesiąt pięć lat – doskoczył do nich.

– Jakiś problem, szefie?

– Wszystko w porządku, Kubuś. Tylko kolegę trzeba będzie zawieźć do aresztu, żeby odświeżyć mu pamięć.

– Nie, nie... już wszystko powiem! – szybko odparł ochroniarz.

Gdy on i mundurowi usiedli na krzesłach przy niewielkim stolyczku stojącym na środku korytarza, komendant zapytał ponownie:

– Ile czasu pracujesz w firmie, ile w tej klinice?

Kubuś bez słowa wyjął notatnik, gotów zapisać zeznania świadka.

– W Gizie pracuję od czterech lat – odparł Rafał Mokul, już bez cienia złości. – Do zeszłej jesieni siedziałem na portierni w jednej z korporacji informatycznych, potem zostałem tu przeniesiony.

– Dlaczego szef postanowił cię przenieść?

– Wygasła umowa z naszą firmą. Wszyscy, którzy tam pracowali, zostali gdzieś oddelegowani albo odeszli z pracy.



– Czyli jesteś tu od dobrych kilku miesięcy? Co możesz powiedzieć o ludziach, którzy tu pracują i uczęszczają na sesje?

– Niewiele. Doktorzy są mili, kulturalni, ale pacjenci niekoniecznie. Ja robię swoje i nie wnikam w ich życie. Praca jest spokojna, w miarę dobrze płatna, a co mnie interesują inni. – Ochroniarz po raz kolejny wytarł spocone dłonie o nogawki spodni.

– Nie miałeś żadnych konfliktów z personelem ani z uzależnionymi? – Inspektor uniósł krzaczastą brew. Czuł, że od tego pytania zaczną się niedopowiedzenia.

– Nic z tych rzeczy. Jestem spokojnym człowiekiem.

– Jasne, świadczą o tym twoja postura, bicepsy zrobione na siłowni oraz wąż wytatuowany na ramieniu. Czyli to nie ty miałeś konflikt z ofiarą? Ponoć tylko pomoc psychologów zapobiegła bijatyce.

Tego pytania Rafał się nie spodziewał. Nerwowo przecesał ręką włosy.

– Nie, to nie byłem ja.

– Na pewno? Żadnych wyzwisk, obelg, kłótni? Przecież sam powiedziałeś, że pacjenci kliniki nie są kulturalni.

– Chodziło mi o to, że nie każdy się przywita, tylko albo coś odburknie, albo rzuci mięsem...

– A czy znałeś ofiarę wcześniej, jeszcze przed tym, jak zaczęła przychodzić na sesję? – dopytywał inspektor. Wiedział doskonale, że ochroniarz coś ukrywa. Spodziewał się też, jaką za chwilę otrzyma odpowiedź.

– Nie, oczywiście, że nie. Nie znam ludzi z półświatka, alkoholików, przestępców...

Po tych słowach inspektor Walski wstał tak gwałtownie, że krzesło, na którym siedział, z trzaskiem upadło na podłogę. Oparł się o blat stolika i nachylił do przesłuchiwanego.

– Łżesz jak pies! – krzyknął mężczyźnie prosto w twarz. – Już masz załatwione cztery osiem w areszcie, a jeszcze jedno kłamstwo i przez trzy miesiące pomieszkasz w celi.

– Ale ja mówię prawdę – pisnął przerażony Mokul, drżąc jak w febrze.

Inspektor był zbyt doświadczonym wygą, żeby nie wiedzieć, iż płaczący ton oraz drgawki są elementem gry, ale musiał przyznać, że świadek był bardzo wiarygodny; każdy młody, niedoświadczony policjant na pewno by się nabral.

– Gówno prawda – wycedził przez zęby. – Pogrążasz się. To ty zabiłeś Marcina Karkowskiego. Nie wiem jeszcze, jaki miałeś motyw, ale się dowiem. Zemsta za bójkę, a może jakaś niezalatwiona sprawa z przeszłości?

– Ale to nie ja! – Ochroniarz podniósł ręce do góry.

– A może było tak: znaleźcie się od kilku lat, ale poprzytykaliście się o jakiś łup z kradzieży, narkotyków, z lewego alkoholu. A może chodziło o kobietę? Spotkałeś ofiarę na sesji, dawna nienawiść odżyła. Zobaczyłeś, że chłop się rozpił, że ma z tym duży problem. Zaczaiłeś się na niego w łazience albo nawet go tam zwabiłeś. A następnie zamordowałeś. Pozostawiając go w takim stanie, chciałeś zmylić policję, rzucając podejrzenie na maniakalnego zabójcę. Jednak wyrzuty sumienia kazały ci wrócić i przyznać się do wszystkiego.

– Stek bzdur! Z taką wyobraźnią powinien pan książki pisać, a nie pracować w policji.

– Czyżby? Czyli to nieprawda? Nie znałeś ofiary wcześniej? – Walski nie zważał na złośliwe przytyki.

– Tak jak mówię, to wszystko jest pański wymysł. Nie znam... znaczy nie znałem tego człowieka wcześniej. Pierwszy raz zobaczyłem go kilka tygodni temu, jak przyszedł na sesję.

– Oj, Rafał, czy ty myślisz, że ja się wczoraj urodziłem? Młodego szczawia może być wykiwał, ale nie mnie. Szczególnie że mamy zeznania pewnej osoby, która twierdzi coś zupełnie innego. A wiesz, od kogo ta osoba wie, że wcześniej znałeś ofiarę?

– No, od kogo? – rzucił zaczepnie ochroniarz, choć było widać, że jest wytrącony z równowagi. Na czole pojawiły mu się kropelki potu. Tego już nie zdołał zagrać.

– Od ciebie samego. I co ty na to?

– Macie słabego informatora. Ja nic nie wiem – upierał się przesłuchiwany, jednak wyraźnie tracił cierpliwość; nieustannie poprawiał się na krześle, raz po raz zerkając w stronę schodów.

– Lepiej przestań się wypierać i powiedz, o co wam poszło dwa tygodnie temu podczas sprzeczki na korytarzu. – Walski czuł dziwny niepokój podobny do tego, jaki towarzyszył mu w akcjach prewencyjnych, tak jakby zbliżało się jakieś niebezpieczeństwo.

– Nie pamiętam żadnej sprzeczki. To chyba nie ja w niej uczestniczyłem – ochroniarz szedł w zaparte.

– Hmm, jesteś ewenementem na skalę ludzkości.

– Dlaczego?

– Dwa tygodnie temu miałeś poważny konflikt z mężczyzną zamordowanym parę metrów dalej! – Inspektor podniósł głos, wskazując łazienkę. – Omal nie zostałeś przez niego pobity. I w przeciągu tych czternastu dni o wszystkim zapomniałeś, tak? Poczekaj, zadzwonię do Ministerstwa Zdrowia z informacją o niezwyklej zdolności błyskawicznego zapominania faktów. Staniesz się sławny!

– No widzi pan, czasem tak bywa – burknął Mokul z szyderczą miną.

– Dobra, kończymy na dziś. Może za czterdzieści osiem godzin coś sobie przypomnisz. Kubuś, zabierz mi go sprzed oczu.

– Moment, nie możecie mnie zatrzymać! Na jakiej podstawie?

– Artykuł sto czterdziesty ósmy punkt pierwszy kodeksu karnego: „Kto zabija człowieka, podlega karze pozbawienia wolności na czas nie krótszy od lat ośmiu, karze dwudziestu pięciu lat pozbawienia wolności albo karze dożywotniego pozbawienia wolności” – wyrecytował Kubuś, po raz pierwszy włączając się do rozmowy.

– Ale ja go nie zabiłem. Na swoją obronę powiem wam dwie rzeczy – odrzekł ochroniarz spokojnym tonem. Za spokojnym.

– No, słuchamy. – Inspektor, nieco już znudzony, wiedział, że nie usłyszy nic nowego ani tym bardziej prawdziwego.

– Po pierwsze, kiedyś byłem świadkiem rozmowy zamordowanego z panią psycholog oraz z jeszcze jednym z uzależnionych, Tomaszem Frycem. Dotyczyła pirotechniki, a dokładnie produkcji bomb domowych, petard czy innych materiałów wybuchowych. Z tego, co zrozumiałem, Tomasz bardzo się interesował tym tematem, chwalił się doświadczeniem w tym zakresie. Podobno produkował dla siebie jakieś bombki i testował je gdzieś w lesie. Mówił o tym z taką pasją, że aż ciarki przeszły mi po plecach.

– To ciekawe, sprawdzimy to. Coś jeszcze mówili?

– Dalej nic nie słyszałem, bo weszli do gabinetu. Powiedziałem już wszystko, co wiem.

– Chyba żartujesz! – ryknął komendant. – Kłamiesz jak z nut!

– W takim razie powiem wam coś jeszcze, ale szeptem. Nie chcę, żeby inni słyszeli, bo trochę się wstydzę... – Rafał nachylił się ku policjantom. – Ostatnia sprawa to...

Nagle szybkim ruchem wyjął z kieszeni małą butelczkę sprayu. Zanim funkcjonariusze zdążyli zareagować, mężczyzna psiknął im czymś prosto w oczy, a następnie rzucił się w stronę schodów.

– Kurwa! Moje oczy! – Mundurowi osunęli się na podłogę, trąc powieki.

– Łapać go! – wrzasnął na całe gardło komendant. – Pierdolony gaz pieprzowy! Powinienem go przeszukać, zanim usiadł.

Mężczyzna zdążył postawić nogę na pierwszym stopniu, gdy niespodziewanie drogę zagroził mu funkcyjna-

riusz. Pierwsza myśl, jaka przebiegła przez umysł Rafała, to że facet jest niebywale wysoki – niczym Herkules albo yeti. Kolejna myśl nie zdążyła nadejść, gdyż posterunkowy Adam Tomicki złapał uciekiniera za obręcz piersiową jedną ręką, za udo drugą, a następnie cisnął nim w przeciwną ścianę. Uderzenie było tak silne, że nos Mokula pękł w zderzeniu z żelbetonem, a na prawym łuku brwiowym pojawiła się krwawa rana. Ochroniarz na chwilę stracił świadomość.

Nikt nie był zdziwiony reakcją Adama, ponieważ każdy w komisariacie, w sądzie, a nawet w szemranych dzielnicach miasta znał wielką odwagę połączoną z nadmierną siłą funkcjonariusza. Mierzył dwieście dziewięć centymetrów wzrostu, co przy stu dwudziestu kilogramach żywej wagi bezdyskusyjnie budziło respekt. Ponadto posterunkowy Tomicki ze swoich trzydziestu trzech lat życia dwadzieścia spędził na treningach podnoszenia ciężarów. Odnosił liczne sukcesy na szczeblu wojewódzkim i krajowym. Miał szansę wystąpić w reprezentacji podczas Mistrzostw Europy, lecz odmówił brania odżywek niewiadomego pochodzenia. W ramach kary wydalono go z kadry i klubu. Wtedy wstąpił do policji. Był znany z tego, że sam zgłasza się do najtrudniejszych akcji i zawsze wychodzi z nich obronną ręką. Jego poczynania stały się tak sławne, że wraz z Grzegorzem Nowakiem w łódzkim świecie przestępczym zyskali miano dwuosobowego szwadronu śmierci.

– Mam go, szefie – powiedział Adam zaskakująco wysokim głosem, zakładając kajdanki niedoszłemu zbiegowi. – Ale chyba potrzebuje lekarza.

– Dawać mi tu naszego medyka. Niech zobaczy, czy stało mu się coś poważnego. A jak nie, to opatrzyć i odwieźć mi to gówno na Smutną<sup>1</sup>! – Komendant nadal przyciskał palce do oczu. Próbował się dostać do wyjścia, ale zahaczył kolanem o blat małego stolika. Zaklął siarczyście. Wiedział, że działanie gazu przejdzie samoczynnie. W przewiewnym miejscu wystarczy godzina, może dwie. Znał lepszą metodę – przemyć twarz zimną wodą z mydłem niezawierającym olejków – ale dostał centralnie w oczy. Najlepiej, jak obejrzy go specjalista.

– Kubuś, żyjesz? – zwrócił się do kolegi.

– Tak, ale w takich chwilach przeklinam dzień, w którym zostałem policjantem. A dzisiaj jeszcze jest mecz w telewizji.

– Ciesz się, że dostałeś gazem, a nie kwasem. Inaczej już nigdy o żadnym meczu byś się nie dowiedział – skwitował Walski, po czym zwrócił się do Tomickiego: – Dobra robota, Adaś. Na ciebie zawsze można liczyć.



Kiedy inspektor Marek Trzos wydał rozkaz rozpoczęcia akcji, samochód z funkcjonariuszami uzbrojonymi w karabiny automatyczne HK 416 kalibru 5,56 milimetra, broń krótką Glock kaliber 9x19 milimetra, kamizelki kuloodporne oraz hełmy skrzył gwałtownie w ulicę Morskie Oko, po

---

<sup>1</sup> Chodzi o ulicę Smutną, gdzie obecnie mieści się łódzki Areszt Śledczy, a niegdyś Zakład Karny Łódź nr 1.

czym zatrzymał się przy trzeciej posesji. Druga furgonetka stanęła w poprzek ulicy, kilka metrów od bramy wjazdowej domu z numerem pierwszym. Tylne rozsuwane drzwi aut otworzyły się gwałtownie i członkowie oddziału uderzeniowego wybiegli na ulicę. Zajęli pozycje przy ogrodzeniu okalającym budynek. Najpierw, po uderzeniu specjalnego tarana, poddała się furtka, a następnie, zaledwie po kilkunastu sekundach, również drzwi wejściowe. Działka, na której stał dom, miała kształt kwadratu o wymiarach sześćdziesiąt na sześćdziesiąt metrów. W głębi stał jednopiętrowy budynek, pomalowany na kolor purpurowy na parterze i granatowy na piętrze. Wiodła doń ścieżka z kolorowej kostki, starannie ułożonej od samej furtki. Po obu stronach tuż przy chodniku rosły bujnie bratki, tulipany, peonie i róże. Dalej rozciągała się równo przystrzyżona trawa. Całości dopełniał murowany garaż z elektryczną bramą, stykający się z domostwem.

Gdybym nie wiedział, że mieszka tu alkoholik podejrzany o morderstwo, pomyślałbym, że fajnie wpaść na popołudniową kawę i ciasteczko do tak pięknie utrzymanej posesji, stwierdził w duchu Krzyski.

Po wyważeniu drzwi wejściowych dwóch policjantów kucnęło przy niewielkim korytarzyku, a dwóch kolejnych udało się do pokoju po lewej stronie holu. Jeden stanął przy schodach prowadzących na piętro, gdzie udali się następni trzej mundurowi. Po sprawdzeniu kuchni pełnej nowoczesnych sprzętów policjanci przeszukali jeszcze małą łazienkę wraz z przyległą garderobą.



Dom był pusty. Wszystko harmonijnie w nim poukładano, równusieńko jak na wystawie sklepowej. Można by pomyśleć, że zbyt starannie jak na samotnego mężczyznę. Garaż wyglądał tak samo schludnie. Wszelkie narzędzia ogrodnicze, gwoździe, nakrętki, puszki z farbami posegregowano według wielkości na metalowych regałach na końcu pomieszczenia. W garażu stał ciemnoszary samochód kombi marki Volvo bez tablic rejestracyjnych.

– Parter czysty – oznajmił komisarz Roman Tumicz.

W tym samym czasie jego koledzy przeszukiwali pierwsze piętro. Po niecałych dwóch minutach wszyscy zebrani usłyszeli głos w krótkofalówkach:

– Piętro czyste. Nie ma tu nikogo. Możecie wchodzić na górę.

Inspektor Trzos, komisarz Krzyski i Łukasz Majski wbiegli po schodach na pierwszą kondygnację. Piętro domu składało się z korytarza ciągnącego się aż do przeciwległego końca budynku, zakończonego oknem balkonowym. Z korytarza można było wejść do trzech dużych pokoi. Każdy z nich pełnił inną funkcję. W pierwszym po lewej od schodów mieścił się gabinet, w którym stały potężne biurko w starym stylu, podobne krzesło i biblioteczka, rozciągająca się przez całą szerokość pomieszczenia. Bezpośrednio za gabinetem znajdowała się sypialnia, również urządzona ze smakiem. Centralne miejsce zajmowało tu dwuosobowe małżeńskie łóżko, przykryte kremową narzutą. Ostatnie pomieszczenie było salonem. Oprócz drogich antycznych mebli mieściły się tu skórzana sofa i wielki telewizor LCD.

Policjanci, rozglądając się po pomieszczeniach, przeżywali swoiste *déjà vu*. Wszędzie panowały taki sam ład i porządek jak na parterze. Nawet łazienka, która przylegała do sypialni, świeciła na błysk, a na kosmetykach i ceramicznych drobiazgach nie było ani drobiny kurzu. Ta sterylność budziła nieokreślone uczucie grozy.

– Dom jest czysty jak muzeum – skonstatował policjant z oddziału uderzeniowego. – I tu mieszka były alkoholik? Nie pomyliliście adresu?

– W naszej bazie figuruje ten adres – odpowiedział równie zdziwiony Krzyski. – Prawie jak u ciebie, Łukasz.

– Porządek rzecz cenna, a nie jak w tej twojej śmieciarce – odciął się Majski ku uciesze kolegów.

– Przeszukać dom – rozkazał inspektor Trzos.

Policjanci podzielili się na kilka grup i zaczęli przeszukiwać poszczególne pokoje. Komisarzowi Krzyskiemu i Łukaszowi Majskiemu przypadła w udziale sypialnia. Mimo przeglądania szuflad z ubraniami, męskimi kosmetykami, gazetami czy przedmiotami codziennego użytku nie udało się znaleźć nic, co mogłoby się okazać pożyteczne dla prowadzonego śledztwa.

Podobnie było w pozostałych pomieszczeniach.

– Wszędzie czysto. Normalnie dom najbardziej niewinnego faceta na ziemi – stwierdził komisarz Krzyski. – A już myślałem, że dorwiemy gościa i zamkniemy sprawę.

Zrezygnowany usiadł na podłodze, opierając się o łóżko. Nagle zobaczył coś zakłócającego panujący wokół porządek. Jakiś odbłysek odbijający światło przedpołudniowego

słońca. Wyprostował się i znowu to zobaczył. Zmrużył oczy i zlokalizował źródło światła – pod szafą, przy której kucnął Łukasz, sprawdzając rzeczy na jej dnie.

– Coś mam. Do trzech razy sztuka! – Piotr klasnął w dłoń, po czym wstał i ruszył w kierunku szafy.

– Gdzie? Ja nic nie zauważyłem – odrzekł zdezorientowany Łukasz.

– Za szafą. – Krzyski położył się na podłodze i spojrzał w ciemną otchłań. – Daj mi latarkę.

Dopiero gdy poświecił z boku, spostrzegł czubek ostrza wiszącego od zewnątrz na tylnej ścianie mebla. Spróbował przesunąć szafę, jednak solidna, drewniana konstrukcja, na dodatek wypełniona rzeczami, nie drgnęła ani o centymetr.

– Pomożesz mi czy będziesz patrzył, jak się mocuję z tą kupą drewna? – rzucił do partnera.

Razem też nie szło łatwo, ale po kilku mocnych szarpnięciach bok szafy odsunął się o kilkanaście centymetrów, tak że można było zobaczyć, co znajduje się z tyłu, a nawet sięgnąć po to ręką. Krzyski i Majski patrzyli na szesnastocentymetrowy nóż myśliwski typu Joker Arabe Bubinga z charakterystyczną rękojeścią i lśniącą głownią. Przytwierdzony był dwoma kawałkami grubej taśmy klejącej do tylnej ściany szafy.

Łukasz, jak zwykle przygotowany do wszystkiego w sposób perfekcyjny, wyciągnął z kieszeni minilampę ultravioletową, której światło pozwoliło sprawdzić, czy na ostrzu zostały ślady krwi, nawet po jego dokładnym umyciu. Wystarczyła sekunda, żeby mundurowi zobaczyli nierów-

nomierne fluorescencyjne plamy przypominające odciski palców bez linii papilarnych.

– Ty to masz wzrok – powiedział Majski, po czym delikatnie, dłońmi w jednorazowych rękawiczkach, oderwał rekwizyt i schował go do torebki na dowody. – Szczęście zaczyna nam sprzyjać. A już myślałem, że nic tu po nas.

Komisarz Krzyski zdążył pokiwać głową, gdy do sypialni wszedł Paweł Dudła, jeden ze szturmowców.

– Mamy coś ciekawego – powiedział. – Musicie to zobaczyć.

Funkcjonariusze udali się za kolegą do gabinetu. W rogu pokoju pochylony Dominik Kominarski usilnie się w coś wpatrywał. Na podłodze przed nim stała butelka po ćwiartce wódki. Rzecz niby bez znaczenia, gdyby nie pomalowane na czarno dno butelki, ołowiana płytką, do której przyklejone było znalezisko, oraz dwie niewielkie złożone na pół kartki – jedna schowana pod metalową płytką, a druga przyczepiona do korka. Widok ten od razu przypominał komisarzom zwłoki mężczyzny z denkiem wystającym z odbytu.

– Znaleźliśmy ją pod koniec przeszukania. Zaslaniała ją ta palma. – Kominarski wskazał na doniczkę z juką wysoką na prawie metr.

– A my mamy to. – Majski wyciągnął przed siebie torebkę dowodową z nożem w środku.

– Trzy ukryte przedmioty, nie ma mowy o przypadku – skomentował inspektor Trzos, który właśnie stanął w drzwiach.

– Jak to trzy? – zdziwił się Krzyski.

– To Władek wam nie pokazał? W garażu pod samochodem chłopaki odkryli zakrwawioną brązową podkoszulkę z graffiti. Była przyczepiona do podwozia auta. Została zabezpieczona i odniesiona do naszego wozu. A to co? – Inspektor przyjrzał się butelce. Następnie za pomocą niewielkich szczypiec zdjął kartkę z korka i położył ją na blacie biurka. Gdy rozchylił obie połowy, oczom mundurowych ukazał się tekst ułożony z liter wyciętych z kolorowych gazet:

*Jesteście w moim domu, ale mnie tu nie ma.*

*Właśnie popełniam kolejne morderstwo.*

*Na kartce niżej znajdziecie szczegóły.*

– Sukinsyn... – syknął Dominik. – Zrobił nas w chuja. Jak go dorwę, uduszę gołymi rękami.

– Zobaczmy tę drugą kartkę. – Krzyski już sięgał po butelkę, gdy usłyszeli trzask w krótkofalówkach.

– Znaleźliśmy coś w ogrodzie. To chyba zwłoki – zakomunikował podkomisarz Bartosz Wijaczek.

– Już idziemy – odparł szef oddziału. – Piotrek, chodź ze mną. Łukasz, Dominik i Patryk, wy zostańcie. Sprawdźcie, co jest na tej zasranej kartce.

Policjanci, nie zwlekając, kucnęli przy butelce. Inspektor Trzos i komisarz Krzyski byli już w progu, kiedy Łukasz, wzięwszy do lewej ręki niewielkie szczypce używane do zbierania dowodów, prawą odchylił szklany przedmiot, tak że jedna część ołowianej płytki uniosła się nieco. Wtedy

rozległ się cichy dźwięk o wysokiej częstotliwości przypominający kliknięcie. Komisarz Krzyski odwrócił się gwałtownie. Doskonale znał ten rodzaj dźwięku.

– Łukasz, nie! – krzyknął z całej siły.

W następnej sekundzie nastąpiła potężna eksplozja.